XX Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2022
Maria Kocot – kategoria dorośli – proza – III miejsce

Godło: Lira

Barwy tamtych chwil

Biel

Płatki śniegu bielą się opadając miękko na ciemne ulice. Pada śnieg, prószy śnieg, wszędzie go nawiało. Dachy są już białe, na ulicach biało. Stroją się w biel drzewa. Na ziemię, jakby całun opadł, jakby świat zamienił się w biel.
- Nie widać świata, jest cały w bieli – wykrzykuję podchodząc do okna.
W szpitalu znowu ruch. Przywieziono kobietę do porodu. Będzie ciężko, dziecko jest źle obrócone. Podwijam rękawy śnieżnobiałego fartucha. Boże jak się boję. Zawsze towarzyszy mi strach, kiedy idzie coś nie tak. Ten przypadek jest wyjątkowo beznadziejny. Kobieta jęczy, krwawi. Trzeba chyba wykonać cesarskie cięcie.
- Czy jest doktor Wilczur? Sama nie dam rady – wykrzykuję do pielęgniarki.
- Nie, doktora dzisiaj nie ma – te słowa sprawią, że brakuje mi tchu.
- Ja jestem w jego zastępstwie – z letargu wyrywa mnie niski, aksamitny głos.
Patrzę przed siebie. Śnieżna biel tkaniny lekarskiego kitla bije po oczach. Mój wzrok wędruje ku w górze. Policzki bledną, usta stają się zbielałe…Pierwszy raz czuję jakby błyskawica przeszywała moje ciało.
- Jurek Bauman, nowy lekarz, pani kolega po fachu – moja dłoń wędruje ku górze, a usta nieznajomego muskają ją lekko.
Przez chwilę czuję się, jakbym bujała w puchowych, bielusieńkich obłokach.
- Prześcieradła! – ton wypowiedzi Jurka sprawia, że przypominam sobie, gdzie się znajduję.
-Skalpel, nożyczki! – moje wargi wypowiadają beznamiętnie te słowa.
- Będzie pani mi asystować, słyszałem od doktora Wilczura, że jest pani świetna, pomimo krótkiego stażu w zawodzie – uśmiecham się lekko, dziękując za komplement.
A za chwilę pielęgniarka niesie bielusieńką watę i białe prześcieradła. Po chwili asystuję przy zabiegu cięcia cesarskiego.
- Ciężko, będzie bardzo ciężko… Dziecko nie dość, że jest źle obrócone, to jeszcze oplecione pępowiną – Jurek gładzi nerwowo lekarski fartuch.
Operacja trwa godzinę, po jego czole spływają jasne kropelki potu. Białe maski, nałożone na usta i nos, skrywają nasze zmęczenie. Wreszcie krzyk. Udaje się. Wygraliśmy życie. Jednak dziewczynka jest bardzo malutka.
- Ona może nie przeżyć – szepczę, jednak Jurek przerywa mi:
- Będziemy walczyć. Każde życie stanowi sto procent, nie poddamy się.
Śmieję się srebrzyście. Jurek łapie mnie za rękę. Zaraz kończymy pracę. Zdejmuję biały fartuch.
W mojej duszy gra serenada, szczęście rozpiera całe moje ciało:
- Że też miłość musiała nam się wydarzyć w grudniu, kiedy świat przysypał całun śniegu, a biały park pogrążył się cały w szarą ciszę!... A nasze serca takie gorące - nie wiem, dlaczego zbiera mi się na odwagę. Ten sam płomień ogrzewał mnie, kiedy parę miesięcy później kaplica tonęła w białych orchideach. Stajemy się mężem i żoną, pośród bieli skąpanej w czystości naszych serc.

Czerwień

Nawet nie wiem, kiedy pierwszy raz mój śnieżnobiały fartuch zmoczył się czerwienią krwi. Czy było to już w trzydziestym dziewiątym? Tak, chyba tak. To wtedy przywieźli do szpitala rannych w bitwie nad Bzurą. Właściwie wtedy czerwień była wszędzie. Krew, krew, zew krwi…

- Pani doktor, tak bardzo boli – słyszę jęk żołnierza leżącego tuż obok na pryczy. Jego policzki czerwienią się z bólu.
- Spokojnie, mamy jeszcze morfinę. Mój mąż będzie pana operować – przemawiam łagodnym głosem, głaszcząc go po ręce.
- W jakich to czasach przyszło nam żyć? – mówi żołnierz, łapiąc z trudem oddech. – Szkopy splądrowały nasz kraj i dodatkowo Czerwoni siedemnastego do nich dołączyli.
- Spokojnie, niech pan się nie męczy – próbuję go uspokoić, jednak żołnierz przerywa mi, machając ręką:
- Toż to czas Apokalipsy nadszedł, droga pani. Toż to krwistoczerwone piekło, zdaje mi się, że nasza flaga nie jest już biało-czerwona, lecz cała zalana krwią. Gdybyż jeszcze to była czysta czerwień. Ale nie! Myśmy w błocie godzinami stali. No wie pani, tam w okopach.

Nerwowo kiwam głową, spoglądając na gnijącą stopę żołnierza. Jurek podał już diagnozę: stopa okopowa. Noga puchnie i zaczyna gnić. Żołnierz jakby odgaduje moje myśli:

- Wiem, trzeba będzie amputować.

Życie, jedno życie. Jedna świeczka zapalona przez Boga. Cóż ma się jedno życie do miliardów żyjących na ziemi? Dla Jurka oznacza wszystko.

Wkrótce naszym domem staje się las. Teraz walczymy o życie naszych leśnych braci pod gołym niebem. Ciągle zwożą ich bez rąk, bez uszu, z rozwalonymi brzuchami. Podczas, kiedy Jurek walczy ze śmiercią niczym Syzyf ze swoim głazem, niebo zamiast błękitu zmienia się w szkarłatną łunę.

Czerń

A potem nastaje noc. Ciemność. Wszystkie gwiazdy na niebie gasną. Niebo przykrywa się czernią. To pod osłoną nocy przychodzą po nas. Gestapo. Właściwie to zapamiętuję tylko tupot wypolerowanych, ciemnych butów. Tak długo ukrywaliśmy się w kamiennicy na Chłodnej, a jednak po udanych akcjach „Jędrusiów", musieli kogoś z naszych złapać i zmusić do tego, żeby nas zadenuncjował. W rogu drogi stoi wielka, ciemna ciężarówka. Wpakowują nas do niej siłą. Czarna noc uniemożliwia mi zobaczenie twarzy towarzyszy naszej niedoli. Przez chwilę milczymy, jednak zaraz potem Jurek szepcze mi do ucha:

- Zabrałem ze sobą pistolet.
- Cii… – kładzie mi palec na ustach, kiedy próbuję coś powiedzieć.

Tymczasem zawożą nas na stację kolejową. Tam każą wsiąść do pociągu. Stajemy przy maleńkim okienku i pomimo ciemności dostrzegamy migające budynki i drzewa. Wszytko spowite w ciemność. Takie też stało się nasze życie.

- Jurku, co robisz? – nagle spostrzegam, że mój mąż majstruje coś pomiędzy deskami w podłodze.
- Lauro, musimy się stąd wydostać, to nasza jedyna szansa – dotyka czule mojej ręki.

Po chwili słyszę jeszcze:

- Jest udało się! Udało mi się wyrwać dwie deski z podłogi! Kiedy oboje wydostaniemy się na zewnątrz, spokojnie poczekamy, aż pociąg odjedzie, a potem…Lauro biegnijmy, ile sił w nogach do lasu! Rozumiesz? Lauro, rozumiesz?

Mrugam powiekami na znak aprobaty. Gwiazdy nagle przebiły się przez czerń nieba, kiedy rozpędzony pociąg staje. Ostrożnie, zgodnie ze wskazówkami Jurka, wydostaję się na zewnątrz.

- Jest ciemno, musi nam się udać – szepczę, a ciepła dłoń ukochanego koi moje nerwy.
- Teraz, biegnij i nie oglądają się za siebie – krzyczy do mnie Jurek.
Przez moment zamieram, stapiając się z ciemnością nocy. Jednak po chwili, nie oglądając się za siebie, moje nogi niosą mnie w stronę ciemnego lasu. Biegną na oślep, prócz czerni moje oczy nie widzą nic. Gwizd lokomotywy. Chyba pociąg rusza. Czyżby się udało? Czyżby nam się udało? Myśli kłębią się w mojej głowie. Pragnę ciszy, pragnę schronić się w bezpiecznych konarach leśnych drzew. Cisza. Błoga cisza. Nagle…TRACH!!!
- Aaa!!! – jęczę jak ranne zwierzę. Jednak moje nogi nadal są sprawne, a ciało nie odczuwa fizycznego bólu.
- Jurek! – dokonuję makabrycznego odkrycia.
- Jurek! – krzyczę bez opamiętania.
Przerażenie nie pozwala mi odwrócić się za siebie. Jednak nadludzkim wysiłkiem czynię to.
- Auuu, moja noga – wije się z bólu Jurek. – Ten szkop na dachu trafił mnie. – Nie dam rady dalej iść.
Czerne niczym węgiel oczy Jurka patrzą na mnie z miłością:
- Lauro, uciekaj! Uciekaj!
Gwałtownie kiwam przecząco głową. Jakże mogłabym go zostawić? Tutaj, na pastwę ciemnej nocy?
- No, dalej Lauro! – syczy, skąpany w cierpieniu, Jurek.
Ja jednak chwytam go za obie dłonie i próbuję przenieść w stronę lasu. Walczę tak przez dłuższą chwilę. Potem dochodzę do straszliwego wniosku: nie dam rady. Jestem drobną kobieta, nie zdołam przenieść do lasu postawnego mężczyzny. Naraz słyszę szczekanie wilczurów.
- Oni są gdzieś blisko – jęczę, a Jurek skinięciem głowy potwierdza moje obawy.
Widzę, jak bardzo cierpi, jaki straszny ból fizyczny odczuwa.
- Lauro, zaraz mnie dopadną, a potem będą mnie…No wiesz, co oni robią ze zbiegami.
Nadal nadludzkim wysiłkiem próbuję przeciągnąć go w stronę lasu.
- Nie dam rady! Na Boga Jurku, nie dam rady! – płaczę.
Jurek głaszcze mnie po ręce.
- Spokojnie. Spokojnie… – szepcze uspakajająco.
Naraz wyjmuje coś z kieszeni. Pistolet. Cofam się przerażona na jego widok.
- Zabij mnie. A potem uciekaj w las –słysząc te słowa brakuje mi tchu. Przed moimi oczyma wirują czarne koła.
- Nigdy, nigdy – wypowiadam w kółko te same słowa.
- Jurek! – krzyczę na cały głos. - Czy to nie ty walczyłeś o każde życie, o każde nowonarodzone dziecko? Czy to nie ty ścigałeś się z Panem Bogiem, żeby ochronić płomień życia i żeby palił się trochę dłużej niż Bóg by sobie tego życzył? A teraz każesz mi cię zabić?
Jurek patrzy na mnie z miłością:
- Życie jest piękne, jednak od niego ważniejsza jest godność! Godność Lauro! Jeśli wiem, że ono zaraz zgaśnie, wolę zakończyć je bez bólu, upokorzeń i cierpień. Strzelaj Lauro, strzelaj! I pozwól mi odejść w godności! Pozwól mi nie cierpieć!
Przez chwilę waham się, jednak pod osłoną nocy słyszę tupot czarnych buciorów. Zaraz tu będą. Drżącymi rękoma chwytam za broń. Zamykam oczy. TRACH!!! Moje życie rozpada się na tysiące kawałków!!!

Jednak zdecydowanie odwracam się za siebie i biegnę… Biegnę w stronę lasu. Jego ciemność przyjmuje mnie niczym długo oczekiwanego gościa. A za chwilę zaczyna świtać. Nadchodzi biel poranka, poprzecinana zapachem czerwonych maków…